# ROZMAITOŚCI.

Dnia 5. Listopada | N.er 45. | Roku 1842.

## ŻYCIE WE ŚNIE.

*Ledwieś zrodzon wiosny rankiem,*
*Już i lato, już i zima!*
*Ledwieś dziecię, już kochankiem,*
*Już i ojcem — już cię nie ma!*
Sześć wieczorów kasztelana.

Gdy się tęsknota i żal w piersiach budzi
Za więdniejącym wieku kwieciem złotym,
Wtenczas się chroniąc przed obliczem ludzi,
Ze łzą gonimy za myśli polotem,
Uczuciom tęsknym lejc puszczamy wolny,
I wtenczas tylko człowiek dumać zdolny.
Wtenczas po złotém wspomnienia promieniu
Wspina się pamięć jak pająk po tkance,
I w lat minionych gnbiąc się marzeniu,
Topi wzrok duszy jak w zmarłéj kochance!
Samotnéj brzozy pod majowym włosem
Rozmawia z duszą tajemniczym głosem.
Wreście znużeni samotnie żeglować
Po morzu wspomnień, łzom nie kładąc tamy,
Chcąc się przed swémi myślami skryć, schować,
Na chwilę ze łzą błogo zasypiamy.
Wtenczas-to dusza gdzie chce znowu żyje,
I serce wtenczas, jak dusza chce, bije!—
O, wy łabędzie w niewinności szacie
Sny!... jak dziéciątka z główką biało-włosą,
Tyle pociechy dla śmiertelnych macie,
Ile w dzień mienia dziatki ojcu niosą!
Dla was rozwarte są szczęścia podwoje,
Chociaż kłamliwe, lecz drogie, bo moje!
Otóż przy takiém zdarzeniu i porze
Młody—jak zwykle i czuły i tkliwy,
Widząc gasnącą młodocianą zorzę,—
A z nią czas błogi, niebiański, szczęśliwy,
Dumałem sobie. Ku ziemi ugiąłem
Kolana—i na jéj łonie zasnąłem.
Spać, a nie marzyć,—muzykę bez dźwięku—
Duszę okutą w zwiérza zmysłach znaczy;
Świat bez rozkoszy, bez śmiéchu, bez jęku,
Bez wrzawy, szczęścia, bez życia rozpaczy.
Tak ja nie spałem; z snu mego ciemnicy
Snuło się życie jak z chmur błyskawicy.
I śniło mi się: jakbym to w poranku
Tak miłym, krasnym—jak piérwszy stworzenia,
Wznosił się w górę—leciał bez ustanku,
Słyszał melodyje—jak Cherubów pienia!
Że się tym śpiéwem nie mógłem nasycić,
Dosyć nasłuchać, dowoli zachwycić!
I tuż przedemną—jak z brylantów rosa
Na zorzy rannéj promieniu, spływały
Chóry aniołków, z swego jasno-włosa
Strumień jasności na mą twarz zléwały,
A jeden chybki, jak miłości chwilka,
Wyprzedził wszystkich, jak zefir motylka.
Ku mnie obrócił błysk ocząt promieni,
Skrzydełka oparł o różowéj tęczy
Kraśniutki rąbek, i rajskiémi pieni
Z dna słodkich tonów, rozwiódł wir obręczy!
Ta pieśń, te dźwięki były mi gdzieś znane,
W kolébce głosem méj matki śpiéwane!
Nucił o niebie, o kwiatkach, aniołkach,
O niewinności, snach rajskich dziecinnych,
O zorzy życia złocistych obsłonkach,
I o dziécięcia zabawach niewinnych!
A mnie się zdało, żem razem z nim śpiéwał,
Takiémi skrzydły, jak on miał, powiéwał,
Żem płacząc we śnie śmiejącémi licy
Bawił się jego włosem z nić jutrzenki;
On mi swą rączką otarł łzy z źrenicy,
I oblókł w białe liliowe sukienki,
I byłem dzieckiem, aniołkiem jak pączek.
Co odebrałem z jego pięknych rączek.
Potém mię uczył, jak kwiat pieścić miałem,
Co mi darował—i miłym uściskiem
Długo mię tulił; a potém słyszałem
Jak mię kochanym nazywał braciszkiem,
I słodko w skronie całując mię w końcu,
Wzleciał wysoko...... i zgubił się w słońcu.
I długo—długo mój wzrok za nim tropił
Ze łzawém okiem patrząc w szybę słońca,
Gdzie mój braciszek uniósł się, roztopił,
Jak myśl w wieczności—albo rosa ślniąca.
Z jakąś tęsknotą w niebo spoglądnąłem,
Pierś się uniosła—piérwszy raz westchnąłem!

Zajrzałem w siebie: w piersiach serce biło
Daleko mocniéj—żywo i gorąco;
Poczułem ducha—(tak się daléj śniło)
A z nim myśl piérwszą w górę wzlatującą.
Spojrzałem w rękę na anielski datek—
Pączek się rozwił w najpiękniejszy kwiatek.
Zrazu nie wiele widziałem do koła,
Ale gdym myśli wytężył źrenicę,
Myśl błyskawica, jakby wzrok sokoła
Śledziła nawet niebios tajemnicę.
I gdym się duchem wzniósł w głębię błękitu,
Głos Cherubinów piłem do nasytu!
Lecz nie byłto głos téj piérwszéj piosenki,
Która budziła i znów usypiała,
Pienia dziecinne i słodkie i miękkie,
Lecz pieśń przeciągła—wyniosła—spaniała,
Jakby flet tęskny—albo arfy dźwięki,
Czasem tak szumne, jak oręża szczęki.
Jakiéś czarowne—już znane uczucie
Zdało się wtórzyć, głos po głosie chwytać,
Dziwić się tonom w téj pieściwéj nucie,
I znów jak własne po imieniu witać.
Z tym głosem lubym chciałem wiecznie płynąć,
I w nim jak w morzu zatonąć, zaginąć!
I znowu cisza. Ustały te pienia,
Które w uczucie jak w morze wpłynęły;
Spojrzałem w górę na niebios sklepienia,
Które me myśli splątały, ujęły
Wzrokiem palącym z śmiertelnych padołów;
Błagałem znowu harmonii aniołów,
I nic nie słysząc—myśli nastroiłem,
O strony czucia własną trącił jaźnią,
I sam zagrałem, sam się zachwycilem,
Żem boskie pienia stworzył wyobraźnią;
Sam zaśpiéwałem taką samą nutą,
W głębi mych piersi myślą dotąd czutą.
Jako gołąbki tony me wzniesione
Śnieżnémi skrzydły skromnie powiéwały,
Jak białéj róży listki rozkwitnione,
Tak skrzydło w skrzydło razem się splątały;
A jam je wszystkie żegnał i pozdrawiał,
I gdzieś w daleką krainę wyprawiał.
To znowu w innych kształtach moje tony
Niektóre smutne i tęskne i śpiewne,
Bolesne, czułe i nieutulone
Jak łzawe dumki Ukraińców rzewne....
I długo brzmiały w powietrzu te dumy,
Jak zlew z skał wody, albo wichrów szumy.
I zdało mi się, jakbymto strudzony
Zaludniać pieśnią odległe krainy,
Posyłać myśli, czucia w cudze strony,
Wysączać piersi i duszy głębiny,
Pragnął gorąco przycisnąć do łona,
Komu śpiéwałem, chwycić w me ramiona!
Wtém myśl za myślą z duszy się wyciska;
Ducham wytężył, wyświecił źrenicę—
I przy mym boku oglądałem z-bliska
Piękną jak słońce, niebiankę, dziewicę.
Ukląkłem przed nią—u stóp jéj złożyłem
Kwiat ów dzieciństwa, co dotąd pieściłem.
W tém przesileniu—nie wiém co się śniło,
Bo kiedy u nóg klęczałem dziewicy,
Uczułem rozkosz świętą—tkliwą, miłą,
I patrząc w jasne anielskie jéj lice,
Tak się w jéj oko, w usta, w duszę wpiłem,
Że na jéj łonie usnąwszy——marzyłem...
Co? i jak długo? któż pomni snu we śnie?
Lecz to pamiętam, że gdym się obudził,
Łzę miałem w oku, żem ocknął się wcześnie,
I snem tym wrzące uczucie ostudził.
A w duszy mojéj—jak olbrzymie cienie,
Pełzało tylko—młodosci wspomnienie!
Żyłem już odtąd nie tylko dla siebie,
Ów anioł, bóstwo, ideał młodości,
Któregom z ziemi latał szukać w niebie,
Rozniecił we mnie płomyki zazdrości,
Przykuł się do mnie. Na bijącém łonie
Zwiesiłem milcząc moje chłodne skronie.
Zwichnięte mając wyobraźni skrzydła,
Zacząłem więcéj przebywać na ziemi;
Skazówka czasu młodości mamidła
Skryła przedemną. Żegnałem się z niémi,
Żegnałem na długo—na długo—na wieki,
I za tym rajem łzą zaszły powieki!
Zbudziwszy duszę z tego zadumienia,
Ledwiem znój otarł z méj ostygłéj skroni,
Uczułem rozkosz z uścisku płomienia,
Byłto jéj uścisk—dłoń jéj, w mojéj dłoni!
A przy jéj piersiach snem ujęte dziécię,
Ów anioł co się roztopił w błękicie!
I ta niewinność na licu igrała,
Ten uśmiéch, spokój, takie same rączki,
Taż na jagodach krasa się rozlała,
Jakby róż dwojga wpół rozwite pączki;
A gdy swych ocząt rozmróżył światełka,
Z pod tych obsłonek błysła łzy perełka,
I zdało mi się—jakbym to me życie,
Szczęście i wszystkie przyszłości nadzieje,
Zaszczepił, przelał w to anielskie dziécię—
Jak w ziarko, nim go maj wiosny wygrzeje.
Jakiémś nieznośném uczuciem ją razem
Z aniołkiem lubił natury rozkazem.
Ale w mych piersiach, z wyobraźni fali
Na wszystkie czyny jak wulkanu lawa
Zlała się żądza, która wiecznie pali,
Którą śmiertelni nazywają: sława.
Skrzydłami woli i bystrym rozumem,
Znowu się wzniosłem po nad ludu tłumem.
Nad dumném czołem jak półkole tęczy,
Zielone lauru gałązki zwisnęły;
Jak owad wplątan w ów wątek pajęczy,
Tak te gałązki myśli me ścisnęły.

Tylko za sławą—w to promienne słońce,
Duszy i chęci biegły skore gońce.
Widziałem posąg—na nim postać własną,
Słyszałem pienia—w pieniach moje imię,
Przyszłość mym oczom zdawała się jasną,
W niéj i me imię opiewane w rymie.
Życiem wspomnienia zabrzmiały tysiące
Tonów mojemu imieniu wtórzące!
Coraz to daléj echo powtarzało,
Każdéj minuty życia mego czyny,
A mnie się jeszcze i jeszcze zdawało
Że lecąc zrywam po drodze wawrzyny!
Lecz czułem niby ruch skrzydeł mniéj wolny,
Do lotu słaby—bezsilny—niezdolny.
Do czoła wreszcie podniosłszy me dłonie
Otrzéć podróżny pot pracy i znoju,
Postrzegłem wiekiem poorane skronie,
A w piersiach zniknął głos szczęścia, pokoju;
I duch za trudy żądał swéj nagrody:
Prawdy—jedynéj dla duszy ochłody.
Głodny dla duszy i serca pokarmu,
Okiem za szczęściem z bolu wypłakaném
Szukałem w świecie—lecz szukałem darmo!
Ten anioł zdał się być z ziemi wygnanym.
Co tylko podał świat ten wiecznie płodny,
Tém się karmiłem, przecież byłem głodny!
Długom zwątpiały błądził w tym wyborze:
Czém myśl nakarmić, czém serce napoić,
Nim głowę do snu wiecznego położę,
Czémby zranione uczucie zagoić?
I kiedym myśli dręczył tém pragnieniem,
Słyszałem miły głos górny: *»wspomnieniem!«*
*»Wspomnieniem«* zabrzmiał raz drugi i trzeci
Tak miło-dźwięcznie, pół-tęskno—wesoło!
To łzę wyciśnie, to śmiészy jak dzieci,
To jakąś dumą opromieni czoło.
Ach!... jam je poznał—poznałem te dźwięki,
Śpiéw-to był męża—młodzieńca piosenki!
I łzą z pod staréj powieki skropiłem
Dzieci przeszłości, wiosny srébrne kwiaty,
I w zachwyceniu do serca tuliłem;
One jak gwiazdki, lub jak cień skrzydlaty
Przed wzrokiem duszy na chwilkę błyskały,
I znowu spieszno z myśli uciekały!
I gdy ostatnia uciekła myśl z ducha,
Nie miałem władzy już i dawnéj siły.
Nademną, za mną, koło mnie, noc głucha—
Ciemna, bezgwiezdna—jak wnętrze mogiły!
Nademną, jakby płacz straty słyszałem—
I już ni czucia, ni życia nie miałem.
Dla mnie nie było ani we dnie słońca,
Ani gwieździstych iskierek w pomroku,
Ani śród nocy promyków miesiąca,
Nawet i światła nie miałem już w oku!
I zdało mi się żem znikał powoli,
Gdzieś w ziemię—na dół mimo mojéj woli.
A nad tém miejscem, gdzie wprzód spoczywałem,
Księżyc z pod chmury swe światło rozniecił,
A w miejscu, gdzie się wprzód starcem widziałem,
Księżyc mogiłę i pomnik oświécił,
A na nim w długim wyzłacanym rymie
Czytałem z trwogą moje własne imię.
Aż oto razem na pół przebudzony,
Słyszałem znowu młodociane pienia,
Chorów anielskich czarodziejskie tony,
Niby miłości głosy zachwycenia—
A gdym z sennego świata na jaw wrócił,
I słońce zaszło—i słowik nie nucił!
I czémże życie, serca uczuć tyle,
Kiedy je we śnie przeżyć chwilką można—?
Czém sława, szczęście, młodości motyle,
Miłość, nadzieja, wiary myśl pobożna?
Snu przypomnieniem—pomyślałem sobie,
Świat go powtórzy, ale na twym grobie!

***Łuk. Falkiewicz.***

*W Lwowie 4. Października* 1842.

# JOHN POKER.

Za panowania Jerzego III., kiedy jego umysłową chorobę nie śmiano jeszcze nazywać właściwém nazwiskiem, gościli w okolicach Londynu odważni rabusie i rozsiéwali postrach w około, a pospólstwo londyńskie oddane wyuzdanéj wesołości, radowało się z całego serca i opowiadało sobie twarde przeprawy, jakie lordowie udając się do swoich dóbr, oskoczeni nieraz od rabusiów, przebywać musieli. John Poker, było przybrane nazwisko jednego z najśmielszych i najodważniejszych bohatérów gościńców publicznych. Słynął on swoją oryginalną grzecznością; obchodził się z kobiétami z największém uszanowaniem, nie pozbawiał płci pięknéj klejnotów, tylko pragnął łakomie zajrzéć w ich mężów kieski, dla tego też kobiéty nie miały przed nim żadnéj trwogi. Dawał on liczne dowody swojéj spaniałomyślności, jednakże był nieubłaganym w swojéj zemście, i w tego, kto go obraził, uderzał nieraz cios niespodziany. Nie wiedziano, czy był młodym lub starym, i tylko kilka kobiét mogło było dać bliższe w tym względzie wyjaśnienie; wątpić jednak wypadało, ażaliby z téj znajomości chciały szukać dla siebie chluby.

Jednego wieczora stał młody mężczyzna na ulicy Exchange przed pięknym domem i wpatrywał się weń z natężoną uwagą.

Już na puste ulice była noc zapadła, gdy stojący naprzeciw domowi, uczuł po ramieniu lekkie uderzenie.

*

»Sir Ralph«, odezwała się przybyła osoba i wskazując na dom palcem, rzekła: »okna wysokie, drzwi w dobre zaopatrzone zamki, trudno się dostać.«

»Znasz mię wpan?«

»Jak najlepiéj. Wiém, że mam zaszczyt mówić z Sir Ralph Winking, kornetem w pułku Devonshire, kochankiem Mis Dyjanny O'Brien, córki irlandzkiego para.«

»Proszę mówić daléj«, rzekł Sir Ralph pogardliwym tonem.

»Bardzo chętnie«, rzekł nieznajomy. »Wpan kochasz Mis Dyjannę, która jest bogatą. Jéj ojciec, lord O'Brien odmówił wpanu jéj rękę, a wczoraj nawet wypowiedział mu swój dom. Jutro odjéżdza do Dublina, otóż chciałbyś wpan wykraść młodą dziéwczynę i ujechać z nią do Szkocyi, dla tego teraz mierzysz okiem wysokość tych okien.«

»Mój panie!« ofuknął się Sir Ralph. »Z nikim nie mówiłem o moich zamiarach, i spodziéwam się, że tu nié mam współzalotnika, któryby mógł moje odgadnąć plany. Albo może wpan jesteś moim rywalem, może kochasz Mis Dyjannę?«

»Dajmy temu pokój, tu o co innego idzie, ja nie myślę bynajmniéj zaślubić Mis Dyjanny, ale ją uprowadzić dla wpana?«

»Wpan?«

»Tak jest, ja; dla czegożby młody, piękny mężczyzna nie miał zaślubić bogatéj dziedziczki? Sam nie zdołasz dójść do celu swoich życzeń, ja mogę wpanu korzystną nadarzyć sposobność uczynienia lordowi O'Brien, przynajmniéj na pozór, tak wielkiéj przysługi, że mu nie odmówi ręki swojéj córki.«

»Któż wpan jesteś?«

»Jestem John Poker.«

»John.... Poker — ten, który....«

Zgadłeś wpan, ten, który....«

Sir Ralph cofnął się w tył o kilka kroków, i mimo ciemności nocy, dostrzegł, że bandyta był młodym mężczyzną, mającym zajmującą powierzchowność.

»Rozważ wpan dobrze«, rzekł John Poker, »czyli mnie chcesz być obowiązanym za rękę najbogatszéj dziedziczki Irlandnyi. Ja sam tylko mogę nadarzyć wpanu nadzwyczajną sposobność uprowadzenia Mis Dyjanny. Ja tylko sam mogę wpanu wskazać drogę.«

»Jaką drogę?«

»Zaraz wpan usłyszysz, ale na każden wypadek musisz mi przysiądz głębokie milczenie.«

»Może dla tego«, odrzekł Sir Ralph takim głosem, jak gdyby przystawał na wszystko, »że droga, którą mi wskażesz, jest ślizka i kręta.«

»Zgadłeś wpan«, odpowiedział śmiéjąc się John Poker. »Zaręczam, że droga, którą pójść zamyślamy, idzie w brew przykazaniu, które opiéwa: Nie rabnj!«

»Wszelako...«

»Tu nié ma innéj drogi, jeźli wpan Mis Dyjannę swoją nazywać pragniesz. Musisz mi przyrzec, że mnie nie zdradzisz, a ja ci opowiém co masz czynić.«

»Przyrzekam.«

»Daj mi na to słowo honoru.«

»Masz je.«

»Więc słuchaj Sir Ralph. My obadwa polnjemy na piéniądze lorda O'Brien, wpan chcesz kluczem małżeńskim otworzyć szkatułę jego, ja zaś napadłszy go na otwartym gościńcu, chcę się dobrać do jego kasy. Wiém, że lord O'Brien weźmie z sobą 40,000 funtów szterl. i schowa je za obiciem powozu. Ja przedsięwziąłem napaść na wóz pocztowy, a bolałoby mnie bardzo, pozbawiać piéniędzy tego, który właśnie utracił swoję córkę. Zresztą zamysłu swego nie mógłbyś wpan tak łatwo przywieść do skutku. Mis Dyjanna nie zechce usłuchać wpana, a gdyby nawet dała się nakłonić do ucieczki, jéj ojciec gniewem uniesiony, nie dałby nigdy swojego zezwolenia, raczéj przelałby swój majątek na krewnych z linii pobocznéj. Otóż ten krok gwałtowny na nicby się nie przydał — Rozważ więc sam spokojnie Sir Ralph i powiédz mi, czy zgadzasz się z mojém zdaniem?«

»Zdaje mi się John Poker, że wpan masz słuszność, ale z kąd u kata wiész to wszystko?«

»To moja tajemnica«, odparł Poker. »A teraz słuchaj, jaki mój plan: Jutro pojedziesz ze mną i z moimi towarzyszami, zatrzymamy się o 100 kroków od tego miejsca, gdzie na lorda O'Brien napaść zamyślam; ja zrabuję banknoty i porwę dziéwczynę.«

»Jako Mis Dyjannę?«

»Tak jest. Uwożę ją dwie mile, wpan puszczasz się w pogoń za mną, doganiasz nas, strzélamy na wiatr z pistoletów, odbiérasz mi dziéwczynę i powracasz ją ojcu. Położenie wpana zmienia się; nie jesteś już kornetem bez majątku, awanturnikiem, który chce gwałtem dobić się ręki bogatéj dziedziczki, ale jesteś wybawcą, przyjacielem, powracającym ojcu jego córkę z narażeniem swojego życia; lord O'Brien w nagrodę tak pięknego czynu, odda mu rękę Mis Dyjanny.«

Sir Ralph zamyślił się na chwilę. Wszystko mówiło za tém, aby szedł za planem Pokera. Wczoraj otrzymał od lorda odmowną odpowiedź, wczoraj wypowiedziano mu dom jego kochanki. Wykradzenie Mis Dyjanny, było czynem zanadto

śmiałym i niebezpiecznym, a gdyby się nawet udało, gniéw ojca dumnego, ścigałby uciekającą parę.

»Przystaję na to«, rzekł Sir Ralph podając Johnowi Poker rękę.

Obadwaj udali się z ulicy Exchange do gościnnego domu, aby tam przy butelce wina swój związek zatwierdzić.

Poczém udał się Sir Ralph na spoczynek, ale nie mógł zasnąć; różne obrazy snuły mu się po głowie; widział się zięciem lorda, widział, jak pełną garścią sięga do skrzyni, gdzie spoczywało złoto, widział się panem rozległych włości. Naraz przychodzi mu na myśl: dla czegoż taki zbójca jak John Poker ma posiąść tak wielką sumę? Dla czego ma teścia okradać? Mis Dyjanna była jedynaczką, do niéj więc należał cały majątek, przeto John Poker zabiérając 40,000 funt. szter. okradał Sir Ralpha. Czyż nie możnaby lordowi podwójną wyświadczyć przysługę? Ta myśl chodziła mu po głowie, rozważał korzyści i szkodę, jakiéjby doznał łamiąc dane rozbójnikowi słowo. Skoro świt, udał się do pomieszkania lorda.

* * *

Ulice były puste, dzień zaczął się dopiéroco robić, a Sir Ralph zapukał do drzwi.

Pokojowiec udał się do lorda i oznajmił, że Sir Ralph w bardzo ważnym interesie prosi o posłuchanie, na co lord zezwolił.

»Milordzie!« rzekł Sir Ralph wszedłszy do gabinetu. »Łatwo pojmiesz, że okoliczność ważna, nie mająca żadnego związku z moją miłością. którą odrzucasz, sprowadza mnie dziś tak rano do ciebie. Twoje własne dobro milordzie, wiedzie mnie dziś przed twoje oblicze.«

»Moje dobro?« rzekł lord z dumą. »Nie sądzę, aby moje dobro miało kiedykolwiek coś wspólnego z twojém Sir Ralph.«

»A przecież tak jest milordzie.«

»Mów wpan, słucham.«

»Ty milordzie odjéżdzasz dzisiaj wieczorem do Irlandyi.«

»To było moim zamiarem, i cóż z tąd mój panie....«

»Weźmiesz z sobą 40,000 funtów szterlingów w banknotach i ukryjesz je w powozie.«

»To prawda.«

»Dwadzieścia mil od Londynu twój powóz pocztowy Milordzie będzie napadnięty, a pieniądze zrabowane.«

»Któż się poważy?«

»John Poker.«

»Ależ z kądże wiesz o tém wszystkiém?..«

»Miałem służącego hultaja, ten utraciwszy u mnie służbę, zabłąkał się do bandy Johna Poker, i w nadziei nagrody, wiedząc o tém, że mam zaszczyt znać twój dom Milordzie, zdradził swojego herszta. Sądziłem, iż jest moim obowiązkiem, zawiadomić cię o tém milordzie.«

Gdy Sir Ralph skończył i kłaniając się lordowi, zabiérał się już do wychodu, powstał lord i zbliżywszy się do młodego korneta rzekł: »Sir Ralph, przyjm tymczasem moją podziękę i nie opuszczaj mnie w takim stanie. Mów, co mam począć, jak mam sobie postąpić, daj mi radę. Cóżbyś w mojém położeniu uczynił?«

Tego właśnie pragnął Sir Ralph, aby go spytano o radę.

»Cobym uczynił... nie wiém...« odpowiedział udając zamyślonego.

»Możeby wypadało inną udać się drogą?«

»Toby się na nic nie przydało milordzie. John Poker ma wielu czujnych szpiegów, którzy mu o tém natychmiast doniosą. Zresztą on zdaje się mieć porozumienie z twoim woźnicą, gdyż wié o tajnym schowku w powozie.«

»Cóż tu począć?« zapytał lord.

»Podam ci milordzie jeden środek: Ja będąc na twojém miejscu, udałbym się do bankiera w City, złożył tamże do depozytu sumę, a zamiast brzęczącéj monety, kazałbym sobie wystawić weksel.«

»Ah! ten środek nie da się zastósować, wziąłem pieniądze w brzęczącéj monecie i w takiéj saméj monecie muszę je zwrócić.«

»Jeszcze jeden pozostaje środek.«

»Jaki? mów, słucham.«

»Czy masz milordzie kogo z pomiędzy twoich służących, któremubyś mógł zaufać?«

»Mam wielu.«

»Dość nam jednego. Ten więc poufny służący niech zrzuci barwę twoją milordzie i niech odjéżdza do Irlandyi z sumą, którą z sobą wziąć zamyśliłeś. W ten sposób możesz milordzie oszukać rabusia.«

»Jak to? nie rozumiém.«

»John Poker jest o wszystkiém dobrze zawiadomiony, nie pomyśli nawet, aby kto mógł przestrzédz cię milordzie. Każ więc włożyć do tajnéj kryjówki w powozie puilares z papiérami, niemającémi żadnéj wartości, któreby miały niejakie podobieństwo do banknotów. Słowem zrób tak, jak twoim było zamiarem. Rabusie wstrzymawszy twój powóz, rzucą się do tajnéj kryjówki i wyciągną puilares. John Poker nie będzie zapewne przetrząsał swojéj zdobyczy, z resztą ciemność nocy nie dozwoli mu tego, a ty milordzie będziesz mógł tymczasem jechać daléj bez przeszkody. Mis Dyjannę weźmiesz zapewne z sobą?«

»Tak jest, wezmę.«

»Obecność Mis Dyjanny przyczyni się do twego bezpieczeństwa milordzie«, mówił daléj Sir Ralph, oszukując zarazem Johna Poker i lorda O'Brien. »Znana ci milordzie grzeczność Johna, żadna kobiéta nie miała jeszcze powodu uskarzać się na niego.«

»Masz słuszność Sir Ralph, uczynię wszystko, co mi doradzasz.«

To mówiąc, uścisnął uradowanego korneta serdecznie za rękę; ten uścisk zdawał się zapowiadać naszemu bohatérowi przywiązanie przyszłego teścia.

Po téj rozmowie udał się Sir Ralph do swojego domu; gdzie cały dzień sam jeden przepędził. Na oznaczoną godzinę stanął przed Johnem Poker, konie były już w pogotowiu. Obadwaj opuścili Londyn i udali się tą drogą, któréj lord O'Brien przebywać musiał.

»O jakżeś wpan szczęśliwym!« zagadnął John Poker swojego towarzysza. »Zaślubisz gładką dziéwczynę i zostaniesz najbogatszym parem Irlandyi.«

»Prawdę mówisz«, odrzekł Sir Ralph. »Nigdy o tém nie zapomnę; ile wpanu winien jestem. Ależ i wpan zostaniesz bogatym, 40,000 funt. szterl. nieszpetna sumka.«

»W saméj rzeczy piękna sumka, warta aby za nią nadstawić gardła. I to zdanie nie tylko ja sam jeden podzielam.«

»Gdzież wpan podziejesz tak wiele pieniędzy?«

»Piéniądze nie ostoją się w naszych rękach, jak je zbiéramy po gościńcu publicznym, tak się też i toczą po nim. Z téj sumy dam połowę moim towarzyszom, a drugą połowę zatrzymam dla siebie.«

»Jest to podział, jak ów w bajce między lwem a zwiérzętami.«

»Wpan jako mój współwinowajca nie powinieneś témi przemawiać słowy, wszak otrzymasz także lwią część, chociaż ta nie będzie cię nic kosztować, dotrzymasz danego słowa i nic więcéj.«

Podczas téj rozmowy noc zapadła, a nasi podróżni ujechawszy już kilka mil od Londynu, zatrzymali się na pustem miejscu, otoczonem wielkiémi dębami. John Poker nie przemówił ani słowa, rzucił tylko wzrokiem na drzewa, i kazał Sir Ralphowi stanąć pod dębem, a gwizdnąwszy zawołał: »Już jest!« Cztérech zbrojnych jeźdców przygnało galopem. Jeden z nich trzymając w ręku kapelusz, zbliżył się i wręczył hersztowi pakiet z głębokiém uszanowaniem. John Poker wziąwszy pakiet do ręki, zaczął się przysłuchiwać.

Na co odezwał się Sir Ralph, »słyszę turkot pocztowego powozu. Zapewne to lord O'Brien.«

»On sam«, zawołał John Poker dzikim głosem. »Ale ja nie porwę Mis Dyjanny, gdyż mam dla kobiét wielkie uszanowanie; nie napadnę na jéj ojca, bo i na cóż, gdy już mam w ręku banknoty jego; wpan nie będziesz tańczył na swojém weselu, gdyż cię tu inny taniec czeka. Daléj dzieci do dzieła. Niech Sir Ralph w powietrzu potańczy!«

Zaledwie to wymówił, jakaś niewidoma ręka spuściła z drzewa stryczek, a Sir Ralph z obrączką konopną około szyi, wzniósł się wysoko. John Poker przystąpił do wozu pocztowego i rzekł: »Dziś z-rana uwiadomiono cię milordzie tylko przez połowę; chcę więc teraz całą rzecz opowiedzieć. Ja pragnąłem twoich piéniędzy, a Sir Ralph twojéj córki. Ja miałem porwać Mis Dyjannę, a on uwolnić ją z rąk moich, i przez to pozyskać twoje względy. Jednakże przysługa, którę mu wyświadczyć chciałem, zdawała mu się za drogo okupioną; dla tego plan nasz zdradził.«

»Jako?« zawołał lord z zadziwieniem, »Sir Ralph był twoim spólnikiem?«

»Był, ale tylko o tyle, ile mu korzyść jego nakazywała.«

»Więc już nie wyciągasz ręki po moje banknoty?«

»A to na co, kiedy je mam już w mojéj kieszeni. Wierny twój sługa milordzie wpadł w ręce moich towarzyszy.«

»Ale któż wpanu o tém powiedział?«

»Gładka pokojówka córki milorda, która teraz opuści służbę i ze mną do Włoch pojedzie.«

»Cóż z Sir Ralphem?«

»Patrz milordzie, oto tam tańczy na wysokim dębie.«

Gdy John Poker te słowa mówił, zaciął konie u powozu pocztowego, aby widokiem wisielca nie przestraszyć Mis Dyjanny. Konie pognały galopem.

»Teraz nie dziwię się bynajmniéj«, rzekł lord obojętnie do córki. »John Poker był przyjacielem domu naszego.«

W kilka lat późniéj, gdy się Johnowi Poker w podobnéj wyprawie powinęła noga, dostał się także po sznurze do nieba.

---

## ZE LWOWA.

*Tygodnika rolniczo-przemysłowego* pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 44. i obejmuje: 1) O sposobie rozpoznawania gatunków ziemi ornéj i kilka słów o uprawie roli, przez Teodora Torosiewicza. 2) Czy dzień 24. czerwca jest najstosowniejszym punktem roku do wchodzenia w dzierżawy dóbr ziemskich? (Dokończenie). 3) O chowie koni. (Ciąg dalszy). 4) Wiadomości czasowe: *a*) Jak w braku zegara na polu, poznać za pomocą ręki która godzina? *b*) Sposób ochronienia buraków cukrowych od zmarznięcia i zgnilizny. *b*) Nowa korzyść z tłuski siewnéj.

Ner 21. *Dziennika mód paryskich*, wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, zawiéra prócz mód, następujące artykuły: 1) Panna na wydaniu. 2) Droga do hamerni, balada Szyllera przez Adama Kłobukowskiego. 3) List. 4) Nowości literackie.

Z Warszawy. W drukarni J. Dietricha wyjdzie wkrótce poezyja pod tytułem: *Rys czynów wojennych JO. Feldmarszałka księcia warszawskiego, hrabi Erywańskiego Paszkiewicza*, przez Feliksa Kouwerskiego. Jestto opis poetyczny czynów wojennych J. O. księcia Feldmarszałka z kampanii r. 1812, z wojny perskiéj i tureckiéj, aż do zdobycia Erzerum.

W »Kuryjerze wileńskim« czytamy: Na początku Nowego Roku w Wilnie u Teofila Glücksberga, wyjdzie z druku dzieło pod tytułem: *Radegast*, wydanie Adama Honorego Kirkowa. Cały dochód z prenumeraty tego dzieła ma być poświęcony na rzecz Teatru polskiego w Wilnie. Wszyscy znakomitsi ówcześni pisarze, wezwani są do pomocy.

Tamże wyszła powieść: *Kirgiz*, przez G. Z.

---

Wolność jawnego wyznawania wiary rzymsko-katolickiéj w Danii. Wiadomo, że w Danii od czasu zaprowadzenia reformy 1517 roku, mieszkańcy Kopenhagi wyznania katolickiego, pozbawieni byli wszelkiego miejsca zgromadzania się na nabożeństwo; a że odtąd w całym kraju surowo zakazano Katolikom zgromadzać się w tym celu, przeto wszyscy tamtejsi wyznawcy téj wiary, zmuszeni byli udawać się do jednéj tylko kaplicy ces. austryjackiego poselstwa, gdzie tak kazanie jak i inne nabożeństwo zwykle w niemieckim języku się odbywało. Otóż teraz król duński wydał rozporządzenie, na mocy którego wyznawcy rzymsko-katolickiego kościoła w Kopenhadze postawieni są na równi z członkami innych wyznań religijnych, i pozwolono im wystawić katolicki kościół w stolicy. Węgielny kamień na ten gmach, jak słychać, położony będzie w dzień Bożego Narodzenia.

Ludwik Filip i lord Ashburton. W roku 1798 lord Ashburton z kilkoma swemi przyjaciołmi zrobił wycieczkę do wodospadu Niagary. Byłato późna pora dnia, a lord powracając, szukał przytułku dla spędzenia nocy; lecz nie znalazłszy żadnego domu, zmuszony był pod gołém niebem pozostać. Obawiając się, aby Indyjanie go nie okradli, postawił jednego z swoich ludzi na straży. Nad rankiem dał się słyszéć szelest w poblizkich krzakach; nie można było rozeznać, azali szelest ten od dzikich źwiérząt lub od ludzi pochodzi. Nareszcie dało się słyszéć prosto do jego namiotu zmierzające stąpanie. Towarzystwo podsłuchując z największém natężeniem, przygotowało się do obrony. Lecz niebawem ujrzeli zbliżających się ludzi, którzy po francuzku z sobą mówili. W kilka chwil późniéj lord Ashburton powitał teraźniejszego króla Francuzów w swym namiocie, w którym obadwaj ani pomyśleli, że za powrotem swoim z dzikiéj puszczy amerykańskiéj, tak ważne role na europejskiéj widowni odgrywać będą.

Abd-el-Kader. Pułkownik Skott mówi o tym dzielnym Emirze, co następuje: »Mehmed Ali i Abd-el-Kader są teraz największymi reprezentantami mahometanizmu. Piérwszy z nich przez komunikacyję Europy z Egiptem jest powszechnie znany, czyny drugiego po większéj części nie są należycie ocenione, ponieważ Maroko dla podróżnych jest prawie nieprzystępną granicą. Jednakże zważywszy jak długi opór stawia ten Emir tak potężnemu i ucywilizowanemu narodowi, jakim jest dzisiejsza Francyja, przyznać należy, że Abd-el-Kader jest zapewne bardzo rzadkiemi tak wojskowémi jak i dyplomatycznémi talentami wyposażony. Książę ten pochodzi z jednéj z najdawniejszych rodzin arabskich. Przodkowie jego byli królami, nim Rzymianie to państwo pod swoje berło zagarnęli. Ma on około pięć stóp i siedm cali wysokości, jest blondyn, ma jasne, błękitne oczy, podługowatą twarz, w któréj się łagodność i wzniosły umysł przebija, przytém bystre pojęcie, wielką determinacyję i zadziwiającą spokojność, tak, iż przez te ostatnie cnoty wyższym jest nad wszelkie zmienne losu koleje. Gdyby Abd-el-Kader otrzymał był wychowanie Napoleona, rzecz niezawodna, iżby był równie jak tenże w dziejach świata słynął. Arabowie oddają mu największą cześć i uszanowanie, i mają go za prawego obrońcę swojéj wiary, a zatém za naczelnika świętéj wojny. Gdyż za świętą wojnę uważają nietylko wszyscy Arabowie, ale w ogóle wszyscy zwolennicy proroka walkę przeciw Francyi.«

Zbawienne towarzystwo. Prócz wielu towarzystw dobroczynności w Indyjach, zawiązało się teraz nowe, jakiego dotychczas tam nie było, to jest towarzystwo zajmujące się wydawaniem wdów za mąż. Podobne towarzystwo byłoby i w Europie chętnie widziane, lecz w Indyjach ma najszczególniéj na celu zapobieżenie, aby się wdowy indyjskie na stosach nie paliły, które najczęściéj dla tego tylko dobrowolnie na śmierć idą, że po śmierci męża zostają całkiem opuszczone, a chętnie zrzekłyby się tego okropnego zwyczaju, gdyby znowu opiekunów znalazły, co pomienione towarzystwo do skutku przywieść zamyśla.

Arcydzieła wielkich malarzy. Niedawno sprzedawano na licytacyi w Londynie sławną galeryję obrazów pana Acramana z Brystolu, zawierającą prawie same arcydzieła, za które bardzo drogo płacono. I tak za *Dentystę* Teniera, zapłacono 320, a za obraz pędzla Wouvermana 310 gwinców. Najwięcéj zaś dawano za *Nadchodzących poganiaczów mułów* pędzla Berghema, któryto obraz za najdoskonalsze dzieło tego artysty uważano. Nabyto go, jak słychać, dla króla bawarskiego i dano zań 1570 gwineów. Zaraz potém gdy już zalicytowano, przybył od ambasadora pruskiego posłaniec z zleceniem, że za pomieniony obraz Berghema dla króla pruskiego chce zapłacić 2500 funtów szterlingów.

Panna Rachel. Podług doniesień Gutzkowa, aktorka Rachel nie jest tak znakomitém dramatycznem zjawieniem, jak sobie w oddaleniu wyobrażamy. Autor *Listów z Paryża*, zowie ją wprost malowaną oziębłością. Nic ją nie uniesie, ani wzruszy. Ona nie kocha; nawet uśmiechnąć się nie umie. Gutzków dał o niéj takie zdanie, gdy ją ujrzał w Cydzie, trajedyi Kornela, w roli Chimeny. W każdém zdaniu jego, objawia się smutne odczarowanie. Pozostaje tylko dla nas zagadką, jakim sposobem osoba, która podług zdania Gutzkowa tak całkiem jest czczą i jałową, samą sztuką deklamacyi zjednać sobie mogła tak wielką sławę, iż się ta po wszystkich salonach i dziennikach europejskich rozeszła.

Teatr w Paryżu. Wielka wytworna *Café anglais*, to miejsce zgromadzenia wszystkich bogaczów i modnisiów paryzkich zbankrutowała teraz; przepyszne jéj meble, kosztowne śrebra, piwnice zawiérające 17,000 butelek najprzedniejszego wina, pójdą na licytacyję publiczną. *Cafe de Paris* przy małej giełdzie na bulwarze *des Gands* zajmuje teraz piérwsze miejsce.—Nowy dramat podług romansu Eugeniusza Sues. *Memoires d'une jeune femme*, napisany przez tegoż i przez

Feliksa Pyat pod nazwą: *Mathilde* zwabia teraz liczną publiczność paryzką do teatru *Porte St. Martin.* Nic plugawszego, excentryczniejszego i niemoralniejszego wyobrazić sobie nie można; coś podobnego mogą tylko aktorowie francuzcy i przed francuzką publicznością przedstawiać. — Sztuka szuka chleba, a kasa pieniędzy! — Z tem wszystkiem nie najlepiej się temu teatrowi powodzi, a piękny czas, w którym mu melodramy pieniądze niosły, już upłynął. — Jakieżto sumy nie wpłynęły do kasy za same dramata Pixerecourta? Dramat pod nazwą: *Wiktor syn lasu*, przedstawiono 874 razy; *Człowiek z trzema twarzami*, 1022 razy; *Pies pana Aubry*, 1122 razy; *Żona dwóch mężów*, 1346 razy; *Celina dziecię tajemnicze*, 1476 razy, a *Biali pielgrzymi* nawet 1533 razy. — Zliczywszy od tych przedstawień tylko po czternaście od sta i przypuściwszy, że każda reprezentacyja niosła w przecięciu 1000 franków (teatr St. Martin niesie 4000 franków), więc Pixerecourt li tylko za tych sześć dramatów, i tylko z tego jednego teatru pobierał 60,000 franków — nie licząc w to jego innych sztuk, których przeszło sto napisał, tudzież teatrów prowincyjonalnych — Tam warto być nawet ladajakim pisarzem.

**Mściwość korsykańska.** W Korsyce wydarzył się wypadek, który jest dowodem jak dzikie i krwi chciwe panują tam dotychczas obyczaje. Słynny bandyta Santa Lucia, który się przedtem zwał królem Santa Lucia di Tallano, przybył niedawno o godzinie 6téj z-rana na publiczną targowicę do Ajaccio, i w obec licznéj, zmieszanéj gawiedzi zabił swego przeciwnika, doktora Reccaserra. Jeden ze strażników człowych, mający przy sobie strzelbę, puścił się w pogoń za uciekającym i już wziął go na cel, aż oto zbójca zawołał: »Stój! ja się poddaję.« To rzekłszy, zatrzymał się istotnie na miejscu, lecz w chwili gdy go strażnik chciał schwycić, ugodził go bandyta dwukrotnie sztyletem w serce i położył trupem na miejscu. Potém wziąwszy strażnika karabin, dał ognia do żołniérza, który go ścigał. W dalszéj ucieczce zgubił kapelusz. Przed kilkoma dniami odesłał tenże sam bandyta przez pasterza do królewskiego prokuratora w Ajaccio karabin strażnika z prośbą, aby mu za to jego kapelusz zwrócono, grożąc, że w przeciwnym razie sam po niego przyjdzie.

**Ofiara miłości.** Damy utrzymują częstokroć, że tylko one namiętnie kochać umieją, lecz niemniéj namiętna miłość, włada częstokroć także sercem mężczyzny. Dzieje wszystkich krajów stawiają mnóstwo przykładów. My opowimy tylko jeden. W włości Voltera niedaleko Florencyi żył przed kilkoma laty Luigi, najmłodszy syn majętnego ziemianina, który się równie wybornémi przymiotami serca jak i rzadką urodą zalecał. W domku położonym blizko włości, mieszkała bardzo skromnie jakaś matrona z młodą dziewczynką, która nigdy nie wychodziła z domu tylko w niedzielę do kościoła. Luigi zakochał się w téj młodéj dziewczynie i pozyskawszy jéj wzajemność, dowiedział się, że stara matrona nie jest jéj matką. Nakoniec jednej niedzieli nie ujrzał Luigi swojéj Teresiny w kościele, pospieszył więc natychmiast do jéj pomieszkania, i dowiedział się z przestrachem, że obiedwie damy dniem wprzód wyjechały, nie powiedziawszy nikomu dotąd. Luigi czekał nadaremnie kilka tygodni na wiadomość od swéj kochanki, a nareszcie porzucił włość, w któréj mu wszystko Teresinę przypominało. Udał się do Liworna, wsiadł na okręt, popłynął do Konstantynopola, a z tamtąd puścił się jako pielgrzym do Ziemi świętéj. Trzy lata spędził w podróży, ale żałość i tęsknota za kochanką nie ustąpiły z jego serca. Powrócił do ojczyzny w zamiarze wstąpienia w Florencyi w zawód wojskowy. — Teresina była córką pewnego majętnego Francuza, który dla szczególnych powodów zmuszony był wychowywać ją potajemnie we Włoszech. Na krótki czas przed jego śmiercią usunięte zostały te powody, a on przyzwał do siebie córkę dla zapisania jéj większéj części swego majątku. Po śmierci ojca, udała się Teresina znowu do włości Voltera, ale z boleścią serca dowiedziała się tamże, iż Luigi wioskę opuścił. Na każdą wiosnę odwidzała tę wioskę, i aby się okazać wierną oddalonemu kochankowi, odmawiała wielu znakomitym kawalerom, którzy się o jéj rękę starali. Nakoniec gdy jednego dnia w Florencyi jechała do książęcego pałacu, przez jakąś przeszkodę zatrzymał się jéj powóz, a żołnierz stojący na straży, przybliżył się dla zrobienia porządku. Teresina spostrzegła żołniérza; byłto Louigi. Jakkolwiek była wielce uradowana, przecież umiała się pokonać, i okazała się spokojną. Wróciwszy od księcia, zleciła swemu adwokatowi, aby niezwłocznie wyszukał pomienionego żołniérza i wykupiwszy z wojska do jéj pałacu przyprowadził. Luigi szedł w milczeniu za swoim przewodnikiem aż do pokoju Teresiny, która nie mogąc już dłużéj ukryć swojéj radości, wybiegła naprzeciw niemu i rzekła: »Luigi, jam jest twoja kochanka, która tutaj przybyła, aby na wieki zostać twoją!« To mówiąc, wręczyła mu kartę uwalniającą od wojska i kontrakt ślubny. Tyle szczęścia na raz było zawiele dla serca Luigi; odważnie zniósł długo-letnią niedolę, ale szczęścia znieść nie zdołał. W przerywanych słowach wyjęknął swoję radość, i już nie odzyskał rozumu, który z nadzwyczajnéj radości utracił.

**Wykradzenie**, które u nas — bądź że my o małżeństwie *filozoficzniej* myślimy, bądź że romantyce wiele przeszkód u nas na zawadzie stoi — tak rzadkiem się stało, iż jeszcze tylko w komedyi występnje, przeciwnie w Anglii wydarza się dotychczas bardzo często. Jestto zwykle młoda dziedziczka, która się z *wesołym Lotario* w drogę do Gretnagreen udaje, albo téż się zaraz w jakim oddalonym kościółku stolicy, za opłatą zwyczajnych zapowiedzi zaślubić każe. I tak niedawno uszła niejaka Miss C., pełnoletnia córka bardzo majętnego kupca z starego miasta *City* z młodym lekarzem, lubo syn lorda o jéj rękę się starał. Można sobie wyobrazić, jak się tym wypadkiem zmartwił ojciec, któremu znakomite pokrewieństwo z ręki się wyśliznęło. Córunia zostawiła w domu bilecik, w którym uprasza rodziców, aby byli spokojni, »gdyż ona tylko za mąż idzie.« (*I have only gone to get maried*).

**Wiadomostka dla kobiet.** Gdyby kobiety wzięły to na uwagę, że szczęśliwe pożycie w małżeństwie trwa tylko tak długo, póki nie chcą być władczyniami, lecz kochankami; gdyby korzystać umiały z całéj swojéj władzy, jakiéj im Bóg nad sercami mężczyzn udzielił, i nie używały nigdy innéj broni, jak tylko łagodności i ujmującéj wymowy; wtedy podbiłyby sobie mężczyzn, jako swych niewolników, wtedyby uśmiechowi ich ust, oprzéć się nie mogli.

---

*Sprostowanie:*

W Nrze. 44. na stron. 350. w pierwszéj przedziałce w wierszu 21 od dołu, zamiast: *oko*, czytaj: *około*.

---

**Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.**
**Drukiem Piotra Pillera.**